



Zofia Rysiówna na tle swego portretu pędzla Czesława Rzepińskiego



ŁUDZIE Z ŻYCIORYSEM

ZOFIA RYSIÓWNA

Zdjęcia: MACIEJ B. BRZOSOWSKI

– W rozmowach z wybitnymi aktorami jako pierwsze pada zwykle sakramentalne pytanie o drogę na sceniczne deski. Nie chciałbym i tej rozmowy zaczynać tą kwestią, ale tak czy inaczej od przeszłości nie uciekniemy, jak to więc było w Pani przypadku?

– Pochodzę z małego miasta na Podhalu, jakim przed wojną był Nowy Sącz. W moim rodzinnym domu panowała atmosfera miłości do sztuki. Wszyscy ogromnie dużo czytali, dwie starsze siostry, obdarzone pięknymi głosami, śpiewały, brat – student polonistyki, szalenie cenił teatr. I ja prześląknęłam tą atmosferą. Jako kilkuletnia dziewczynka podobno dobrze recytowałam różne dziecięce wierszyki, więc – jak to zwykle bywa – te moje recytatorskie talenty wykorzystywano w domu („Zosiu, powiedz nam wierszyk...”), a potem w szkole. Po maturze w roku 1938 postanowiłam złożyć egzamin do Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej w Warszawie. Decyzja ta nie była bynajmniej podyktowana nieodpartą chęcią zostania aktorką, chciałam poddać swoje, jakże skromne wówczas, umiejętności pod osąd ludzi kompetentnych. Gdybym nie zdała egzaminu, nie byłoby to wielki dramat, zostałabym na pewno prawnikiem – adwokatem. Często oczami wyobraźni widziałam siebie wygłaszającą płomienne mowy obrończe, ratując z operacji jakichś nieszczęśliwych skrzywdzonych przez los i złych ludzi...

– Wspomniała Pani o wielkim wpływie domu rodzinnego. Jak dzisiaj go Pani wspomina?

– Z ogromnym wzruszeniem. Żyliśmy bardzo skromnie, ojciec wcześniej nas osierocił, więc wszelkie obowiązki dźwigała matka. Ale wszystkie niedostatki rekompensowała nam wzajemna miłość. Byłam najmłodszą z rodzeństwa i wszyscy mnie rozpieszczali.

– Przerwane przez wojnę studia aktorskie kontynuowała Pani w konspiracyjnym Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej...

– Tak, kształcili się tam również tacy wybitni dziś aktorzy, jak Andrzej Łapiński, Zofia Mrozowska, Włodzisław Głiński, Antonina Gordon-Górecka. Wykładowcami byli wielcy artyści i wspaniali ludzie: Stefan Jaracz, Irena Wysocka, Stanisław Stanisławski, Maria Wiercińska, Zofia Małynicz. Najczęściej jednak wspominam panią Jadwigę Turowicz – naszą „ciocię Jadzię”. Ta wielkiego serca kobieta opiekowała się nami nieomal z matczyną czułością, dbała, żebyśmy nie chodzili głodni, jako tako przyodziani, pocieszała i dbała o nasze bezpieczeństwo, była prawdziwym przyjacielem. Zajęcia odbywały się w różnych miejscach, często w mieszkaniach prywatnych. Mój przyjazd do Warszawy był niejako wymuszony. W Nowym Sączu byłam spalona, gestapo poszukiwało mnie za udział w jednej z akcji podziemia. Niedługo, niestety, kształciłam się w tej naszej konspiracyjnej szkole dramatycznej, w roku 1941 zostałam aresztowana.

– Przyznam się szczerze, że mnie, człowiekowi znającemu wojnę tylko z opowiadań, trudno jest wyobrazić sobie taką sytuację: wojna – okupacyjny terror i jakby wbrew temu szkoła teatralna, wykłady, ćwiczenia, egzaminy...

– Wojna nie mieści się w wyobraźni żadnego normalnego człowieka. My, młodzi wówczas ludzie, przeżywalismy to, co się wokół nas działo jak upiorny sen, koszmar. Ale młodość ma swoje prawa, których nawet wojna nie potrafi zagłuszyć. Kochaliśmy, cieszyliśmy się życiem, kolejnym dniem, wiosną, pierwszymi pąkami na drzewach. Byliśmy normalnymi ludźmi, to świat oszalał... W śledztwie, po moim aresztowaniu, przestuchujący mnie gestapowiec zagroził, że jeśli nie zacznę mówić prawdy, to pošle mnie do Oświęcimia. A ta groźba nie wywarła na mnie żadnego wrażenia, „Auschwitz” to był pusty dźwięk. Nie wiedziałam, nie przypuszczałam nawet, że istnieje coś takiego jak obóz koncentracyjny, komory gazowe, krematoria...

– Heroicznym okresem w Pani życiorysie była praca w konspiracji i pomoc w słynnej ucieczce Jana Karskiego z rąk gestapo. Proszę nam opowiedzieć o tej akcji...

– Nie chciałabym wracać do tych bolesnych wspomnień. Bardzo obszernie o tym wydarzeniu pisał Stanisław M. Jankowski w „Przeglądzie Tygodniowym”. Nie miałabym wiele do dodania, trudno jest mi o tym mówić... Zrobiłam wówczas to, co było moim obowiązkiem, nie pragnę uchodzić za bohaterkę.

W czerwcu roku 1940 z Warszawy do Paryża wyruszał emisariusz – Jan Karski (właściwe nazwisko Jan Koziński, ps. „Witold”), wioząc informacje o działalności i strukturze polskiego podziemia. Po przekroczeniu granicy, już na Słowacji, Karski zostaje schwytany przez gestapo. Hitlerowcy podejrzewają, że jest on kurierem, przestuchują go w bestialski sposób. Skatowanego więźnia gestapo przewozi do szpitala w Nowym Sączu. Mimo ostrej kontroli, nowosądeckiej komórce ZWZ udaje się nawiązać kontakt z Karskim. Podczas spowiedzi „Witold” prosi księdza o pomoc: – „Proszę aby ksiądz powiadomił rodzinę Rysiów, a najlepiej ich córkę, Zofię. Mieszkają na ulicy Matejki, pod numerem drugim... Co powiedzieć? – Że Witold jest w szpitalu i prosi o... truzinę”.

Dramatyczna prośba o pomoc dociera do adresatów. Zofia Rysiówna „Zosia”, jedna z najmłodszych łączniczek nowosądeckiego inspektoratu ZWZ jedzie z informacją do dowództwa w Krakowie. Tutaj, po złożeniu relacji, otrzymuje pieniądze na wykup bądź pomoc dla Karskiego oraz instrukcje. Akcja uwolnienia „Witolda” przeprowadzona pod dowództwem brata Zofii Rysiówny – Ryszarda Rysia, udaje się. W Nowym Sączu hitle-

„Aktor to zawód i powołanie. Trudno robić cokolwiek bez wiary w sens swego działania”

dokończenie na str. 10

ZOFIA RYSIÓWNA

okończenie ze str. 6

rowcy organizują poszukiwania na wielką skalę. Nieostrożność jednego z uczestników akcji doprowadza do aresztowań kilku osób, dwóch z nich nie wytrzymuje tortur, zaczynają mówić. „Zofie Rysiównę gestapo odnajdzie aż w Warszawie, po aresztowaniu pozostałych w Nowym Sączu matki, siostr i kuzynki. Niemcy, jak się okazuje, znają nawet szczegóły akcji w szpitalu”. Zofia Rysiówna, brutalnie przestuchiwana, nie wydała niko go, wywieziona zostaje do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. „Wyjeżdżała nie wierząc, że uda się jej jeszcze kiedyś wrócić do Nowego Sącza i że ktokolwiek będzie pamiętał o jej udziale w akcji ratowania »Witolda« – Jana Kar skiego. Czyż mogła przypuszczać, że jej nazwisko oraz pseudonim »Zosia« znalazło się na liście osób przewidzianych do odznaczenia Krzyżem Walecznych? Nie wiedziała też, że żyje emisariusz, za którego życie zapłaciło tyle osób.”)

– Chciałam dodać jedno sprostowanie. W numerze 23 „Przeglądu Tygodniowego” z dnia 8 czerwca 1986 roku, pod zamieszczonym zdjęciem, jest błędny podpis. Na tej fotografii jestem razem z moim bratem, a nie mężem.

Rysiówna to nie żona kogoś o nazwisku Ryś, ale jego córka albo siostra...

– *Pani debiut teatralny nastąpił dopiero po wojnie, w roku 1945, w Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie?*

– Była to rola w „Balladynie”. Ten mój opóźniony debiut miał i swoje dobre strony. Mogłam się zetknąć z wielkimi artystami polskiego teatru: Juliuszem Osterwą i Karolem Frycem. To byli naprawdę wspaniali ludzie. Juliusz Osterwa roztaczał wokół siebie jakąś przedziwną atmosferę dobroci, przyjaźni, miłości do ludzi i teatru. Karol Frycz to temat na osobną opowieść. Niewielu ludzi wie dziś zapewne, że ten wybitny scenograf był w pewnym okresie swego życia i dyplomata w polskiej ambasadzie w Japonii. Z tych czasów wyniósł ogromną wiedzę o starym teatrze japońskim i kulturze Wschodu. Chętnie i często opowiadał o tym, a gawędziarzem był niezrównany. Mimo że wówczas, w roku 1945, zbliżał się już do siedemdziesiątki, zadziwiał sprawnością umysłu i wspaniałą sylwetką. Byłam nim zauroczona...

– *Pani pokolenie było w pewnym sensie uprzywilejowane. Gdy wkraczaliście do teatru, żyli jeszcze wielcy polscy aktorzy, ci, którzy tworzyli jego legendę. W sposobie kształcenia, w pracy na scenie istniał jeszcze model „mistrz-uczeń”. Dziś, niestety, już tego nie ma. A młodzież aktorska chyba potrzebuje takich kontaktów dla doskonalenia swych umiejętności?*

– Z tymi mistrzami to bywało różnie. Oprócz tych wielkich aktorów, którzy opiekowali się swymi młodszymi kolegami, a byli to na przykład – Jaracz, Osterwa, Zelwerowicz – istniała też spora grupa wziętych aktorów traktujących młodzież z olbrzymim dystansem. Nie przeceniałabym również wpływu mistrzów, doskonalenie umiejętności aktorskich zapewne przede wszystkim granie jak największej liczby różnych ról, nawet błahych epizodów.

– *Dość często, szczególnie w wywiadach z młodymi aktorami, pojawia się stwierdzenie, że teatr ich męczy, granie kilkanaście razy tej samej roli – nudzi. Czym dla Pani jest teatr? Jaki jest sens jego istnienia dzisiaj?*

– Wyrosłam w przekonaniu, w wierze w to, iż teatr jest miejscem kultury, mowy oczystej i wielkiej literatury narodowej. Tylko w teatrze aktor i widz stykają się z sobą bezpośrednio, bez udziału jakiegokolwiek technicznego łącznika. To wzajemne oddziaływanie ludzi na siebie, przekazywanie sobie jakiejś tajemniczniej energii czyni tę sztukę niezniszczalną. Kto tego nigdy nie przeżył, naprawdę nie wie, czym jest teatr. A jeżeli chodzi o zmęczenie graniem tych samych spektakli, to już w samym założeniu tkwi błąd. Przecież gra na scenie nie polega na mechanicznym powtarzaniu słów. Ten sam spektakl jest codziennie inny, za każdym razem tworzy się go od nowa, występują żywi ludzie, a nie marionetki.

– *Od pewnego okresu jest Pani związana z Teatrem Dramatycznym w Warszawie. Dziś tej scenie nie wiedzie się najlepiej...*

– Z tym teatrem związana byłam jeszcze we wczesnych latach sześćdziesiątych, był to wtedy jeden z najlep-

szych teatrów polskich. Na tej scenie przeżyłam wiele wspaniałych chwil, grałam w wybitnych spektaklach. I bardzo dziś boleję nad artystycznym załamaniem tego teatru, ale nie myślę się przenieść. Wierzę, że nastąpią zmiany na lepsze.

– *Podobno aktorzy marzą o zagranii roli Hamleta. Czy jest taka rola, o której marzą aktorzy? Czy istnieje, postać, którą Pani chciałaby zagrać?*

– Nie, nigdy nie marzyłam o konkretnej roli. Ale ogromnym przeżyciem było dla mnie zagranie Judyty w dramacie Juliusza Słowackiego „Ksiądz Marek”. Utwór ten miał premierę w Teatrze Dramatycznym bodaj w roku 1963. Praca nad tym spektaklem, nad rolą, dostarczyła mi wiele rzadkich wzruszeń.

– *A czy były role nie lubiane?*

– Może i były takie role, ale wszystkie starałam się grać w dobrej wierze, jak najlepiej umiałam. Nie roszczę sobie pretensji do gwiazdorstwa, więc nie istnieją dla mnie role duże i małe, lepsze i gorsze. Są tylko źle lub dobrze zagrane. Stara to prawda, że trudniej zaistnieć w epizodzie niż w głównej roli.

– *Czy dziś, z perspektywy lat, potrafiłaby Pani odpowiedzieć na pytanie: aktor – to powołanie czy zawód?*

– Chyba i jedno i drugie. Trudno jest robić cokolwiek bez wiary w sens tego działania.

**Rozmawiał
BOGUSŁAW
BORCH-WSNIEWSKI**

*) Cytaty pochodzą z fragmentów książki Stanisława M. Jankowskiego „Strzały pod więzieniem”, drukowanych w „Przeglądzie Tygodniowym” pt. „Kryptonim SAMOOBRO-NA” w nrach 23 i 24 z 1986 r.



Zofia Rysiówna – wybitna polska aktorka (rozmowa z cyklu „Ludzie z życiorysem” – str. 6–10)

Fot. Maciej B. Brzozowski